Nr. 49. We Lwowie, Poniedziałek dnia 8. grudnia 1890.

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO".

Kronika Londyńska.

w grudniu 1890.

(Stanley i jego prześladowcy. — Szkice Jamesona. — Major Barttelot. — Zwrot w opinji publicznej).

Wyzywając do walki męża takiej energji i tak przezornego, jak Henryk Stanley, pp. Walter Barttelot, Troup i Ward nietylko siebie narażali na dotkliwą porażkę, ale nadto zadali ostateczną klęskę pamięci majora Barttelota i Jamesona, w których obronie występowali. Drażniony nieustanie, zaczepiany i spotwarzany Stanley widział się zmuszonym odrzucić na bok te wszystkie względy, które go wstrzymywały od wygłoszenia całej prawdy; teraz wyjawił ją i to prawdę tak straszliwą, że zgroza przejmuje wszystkich, w których piersiach bije serce ludzkie, a mianowicie też tych, którzy po nowoczesnych badaniach Afryki spodziewają się doniosły chowców cywilizacyjnych.

Jako mąż przezorny, Stanley powróciwszy od jeziora Alberta do Bonalji, i dowiedziawszy się od dra. Bonny'ego o ponurych dziejach tylnej swej straży, pospieszył wszystko sprawdzić. Z razu oświadcza w swej depeszy do Timesa — nie chciałem uwierzyć w to opowiadanie. Jednakże wszystkie fakta potwierdzili Zanzibarczycy w Stanley-Fallsu (główna kwatera Tibbo-Tiba), a były one znane wzdłuż całego Konga od Leopoldvillu aż do Nyangwy. Dowiedziałem się nawet, że belgijskie władze państwa Kongo postanowiły uwięzić Jamesona. Żywiąc zawsze jeszcze nadzieję, że zachodzi błąd lub oszczerstwo napisałem do Jameson'a, (który wtedy przebywał w Bangali nad rzeką Kongo), aby się usprawiedliwił i wykazał bezzasadność czynionych mu zarzutów, gdyż inaczej nie mógłbym mu pozwolić przyłączyć się do naszej ekspedycji. Jednakże nie otrzymałem od niego odpowiedzi (Jameson krótko potem umarł w Bangali). Gdy przybył do Kairu tłómacz Assad Foran, chrześcianin, zaprzysiągł owe fakta. Porucznik Troup, zapewniał mnie, że widział album Jamesone'a, zawierające szkice zabicia, rozćwiertowania i spożycia murzynki, oraz, że kapitan belgijski widział je także. Pewny misyonarz, którego nazwiska na teraz nie wymieniam, w namiocie Jameson'a widział głowę murzyna, przygotowaną do wysłania do Londynu.

Sam dramat cynicznego okrucieństwa, jakiego się dopuścił Jamerson, Szkot, z zawodu przyrodnik, odegrał się w następujących warunkach: Powróciwszy z Kasonu, Jameson z Tibbo-Tibem i drugim Arabem rozpoczął mowę o ludożerstwie. Twierdził wtedy, że w ludożerstwo nie wierzy, bo choć tyle o tem słyszał, to ani on, ani inny Europejczyk nigdy nie widział podobnego aktu na własne oczy. Tibbu-Tib odpowiedział, że nie byłoby trudno o dowód, gdyby go Jameson pragnął. Wystarczy kupić niewolnicę i oddać tym oto ludziom (tubylcom z plemienia Manjema), którzy to panu pokażą. Na to Jameson za 12 chustek bawełnianych kupił młodą murzynkę, lat 10 do 12, i oddał ją murzynom, mówiąc: „Teraz pokażcie sztukę waszą". Dziewczę związano, a Jamesson wziął do ręki album, aby rysować. Gdy wszystko było gotowe pchnięto dziewczę nożem w serce, a Jameson, rysując spokojnie, zrobił sześć szkiców.

Co do majora Barttelot'a dopuścił się on niemniej okrutnych występków. Śmierć jego Stanley w wymienionej depeszy Timesa tak opisuje: „Dnia 19 lipca 1888. z rana major został obudzony spiewem i hukiem bębna. Pokazało się, że pewna kobieta według zwyczaju Manjemów spiewała przy odgłosie bębnów na powitanie wschodu słońca. Major z rewolwerem i uzbrojoną w żelazną dzidę laską, wyszedł z namiotu, kobietę ową powalił na ziemię, bił i kopał. Na wrzask kobiety przybiegł mąż jej, kacyk Sanga, i zastrzelił majora. „Sanga, dodaje Stanley, spełnił czyn w chwili gwałtownego wzburzenia z powodu skaleczenia żony. Bo ci Afrykanie swoje żony nie mniej kochają, niż Europejczycy".

Ta brutalność, która wreszcie sprowadziła śmierć majora Barttelot'a, była zresztą tylko ostatniem ogniwem w długim łańcuchu podobnych czynów. Kaleczyć ludzi, kopać sługi, sprowadzać śmierć innych pod batogami, było to niejako zwyczajem tego dziwacznego majora regularnej armii angielskiej. Jak każdy tyran, był podejrzliwy, skłonny zawsze do zdrady. — dla tego też ciągle jej się obawiał od innych. I tak przed jednym ze swych oficerów wyjawił obawę że go Stauley otruje, ponieważ dotąd sławny podróżnik sam zawsze wracał z każdej wycieczki afrykańskiej. Z Jamerson'em major układał się, aby wbrew instrukcjom nie ruszyć za przednią strażą do jeziora Alberta, lecz do jeziora Tanganiki; na towarzysza tej samodzielnej wyprawy starał się pozyskać Tibbo-Tiba. Gdy dezerterowie przedniej straży przywieźli do Jambugi mylną wieść o zgonie Stanley'a, Barttelot zawołał:

— „Dzięki Bogu, teraz zostanę pułkownikiem".

Razu pewnego Barttelot doktora Bonny'ego prosił o truciznę. Zamierzał on wtedy otruć młodego Selina Mahomeda, synowca Tibbo-Tiba i dowódcę oddziału przysłanych przez tegoż murzynów. Bonny, przerażony zbrodniczym zamiarem majora, ukrył starannie swą skrzynię aptekarską.

Wszystkie te szczegóły, opowiedziane przez Stanley'a, dr. Bonny potwierdził w liście ogłoszonym świeżo w Timesie. Dr. Bonny oświadcza także, że owe szczegóły zakomunikował p. Walterowi Barttelot'owi, tudzież wdowie Jameson'a, którzy go prosili o objaśnienie.

Oczywiście rewelacja Stanley'a wywołała w Anglii ogromne wrażenia. Wszystkie dzienniki całe łamy zapełniają tym ponurym epilogiem ostatniej sławnej wyprawy afrykańskiej. Są tacy, którzy za złe biorą Stanley'owi, że wyjawił te wszystkie bezeceństwa, atoli zapominają, że uczynił to dopiero wtedy, gdy go zmusiły zaczepki i oszczerstwa brata zabitego majora, tudzież dwóch dezerterów tylnej straży, Troup'a i Ward'a.

Inni podnoszą, że Stanley sam w jednym ze swych listów do londyńskiego komitetu, utworzonego celem oswobodzenia Emina, bronił Barttelot'a i Jamesono'a od zarzutów, które sam powtarza.

List ów Stanley pisał w powrocie od jeziora Alberta w stacji Msalala nad jeziorem Wiktorja 31 sierpnia 1889 r. Wtedy nie posiadał żadnych dokumentów, okrom ralacji dra. Bonny'ego. Jako mąż ostrożny i przezorny, Stanley świadectwa jednej osoby nie uważał, jako dostateczne, aby potępić pamięć dwóch oficerów tylnej straży. Dopiero potem, świadectwa złożone w Kairze pod przysięgą przez innych naocznych świadków, wymieniające ich okrucieństwa, wyjaśniły zupełnie straszną tajemnicę i uprawniły Stanley'a do jej wyjawienia. Gdyby był zastał przy życiu Barttelot'a, a pod ręką Jameson'a, niezawodnie oddałby ich pod sąd. Że pragnął oszczędzać pamięć zabitego majora i zmarłego przyrodnika, tego mu za złe bračnie można. Jednak dobrze się stało, że zaczepki Waltera Barttelot'a, Troup'a i Ward'a zmusiły ostatecznie Stanley'a do wyjaśnienia całej prawdy. Bo chociaż winni już nie mogą stanąć przed sądem, to przecież powszechne, zgodne oburzenie, jakie te rewelacje wywołały w całym świecie cywilizowanym, będzie zbawienną przestrogą dla innych podróżników afrykańskich, aby nie odważyli się postępować barbarzyńskiemi torami Barttelot'a i Jamerson'a. I dobrze będzie, aby murzyni w najciemniejszej Afryce wiedzieli, iż oni także, korzystając z zasady *homo sum, nihil humani a me alienum puto*, stoją pod opieką opinji publicznej Europy. Krew niewinnie przelana przez Barttelot'a i Jameson'a woła o pomstę do nieba. Hańby, jaką te wypadki okryły społeczeństwo angielskie, nie można zmazać inaczej, tylko tem sumienniejszą na przyszłość troskliwością o zabezpieczenie tubylcom afrykańskim wszelkich praw ludzkich i braterską miłością.

Jeżeli ohydny skandal, złączony z nazwiskami Barttelot'a i Jameson'a, przyczyni się choć w części do obudzenia w społeczeństwie angielskiem owej prawdziwej miłości dla nieszczęśliwego czarnego plemienia Chama, natenczas z męczeńskiej krwi ofiar tych dwóch potworów angielskich wyrośnie kwiat bogaty i najszlachetniejszy.

Adelina Patti.

Jedna z francuzkich ajencyj telegraficznych puściła w świat pogłoskę, jakoby w Mentonie d. 21 z. m. o godzinie 5 wieczorem, zmarła Patti, największa po zgonie Grisi, Malibrau, Pasty i Frezzolini, artystka, a z największych, wedle słów Danta, mistrzyni.

Di quel cantar che nell'anima si sente.
(Tego spiewania co się w duszy czuje).

Dzięki tej pogłosce, podobno zgoła przypadkowej, Patti figuruje obecnie na szpaltach wszystkich dzienników świata.

Urodziła się w 1843 r. w Madrycie z dwojga popisujących się tam włoskich spiewaków, podrzędnego tenora i wcale niepierwszorzędnej primadony. Obdarzona od natury iście słowiczym głosem i jak słowik przyrodzoną niejako sztuką, od dzieciństwa poświęciła się z zapałem studjom muzycznym. Małego wzrostu, śniadej płci, oczu żywych i promiennych, jak czarne brylanty, dziecina ta, instynktowo rozspiewana i trelująca, miała doprawdy w sobie coś słowiczego i wszystkich wprawiała w zdumienie. Pewnego wieczoru mając lat osiem, jak dantejska Beatrix w „Nowem życiu“, zaspiewała w kole przyjaciół, u jej rodziców zebranych, arję z „Normy“, naśladując sławną Frezzolini, którą w przedzień słyszała, ale z taką dźwięcznością głosu i takiem przeczuciem tajemnic sztuki, iż słuchacze nie mogli uszom swym uwierzyć, że to dziecko spiewa i uderzyli zapamiętale w oklaski. Wtedy mała Adelinka chwyciła wieniec z kwiatów, który do teatru zanieść miano, i włożyła go sobie na skronie. Uważano to za proroctwo bardziej, niż za objaw próżności dziecinnej.

W r. 1859 towarzyszyła rodzicom do Ameryki i tam w Nowym Jorku, mając lat szesnaście, wystąpiła po raz pierwszy w arcydziele Donizzettiego „Lucia di Lammermoor“ i odrazu obwołana została przez przebywających tam włochów i przez publiczność amerykańską jako talent wyjątkowy i głos fenomenalny. Powrót jej do Europy potwierdził i spotęgował tę sławę. Słuchacze ówcześni, zachowujący jeszcze wrażenie chłodnego artyzmu pani Sonntag, Pasty i Frezzolini, rozkoszowali się w tym spiewie, tak samodzielnym i źródlanym, tak pełnym naturalnego mistrzowstwa i wrodzonej namiętności. Jakoż młoda Adelina jednomyślnie ogłoszona była najpierwszą spiewaczką tegoczesną.

Nikt nie posiadał takiego, jak ona znawstwa najulotniejszych odcieniów spiewu, takiego poczucia tempów muzycznych. Uczyła się oper w domu, usiłując ricamare, jak mawiali włosi, czyli haftować do nieskończoności każdą partyturę. Spiew jej był po słowiczemu trelistym, ale to ustawiczne trelowanie i wyćwierkowanie sprawiało, że niejednokrotnie kompozycja traciła swój pierwotny charakter i piętno pod dodatkami wykonania, że koloryt natchnienia twórcy znikał pod tęczowem mienieniem się tych improwizacyj jego tłumaczki.

Adelina Patti przestawała być wykonawczynią, stawała się współpracowniczką dzieła muzycznego.

Pewnego wieczoru Joachim Rossini, który nie znał jej jeszcze, obecny był w jednym z paryskich salonów na koncercie, na którym Adelina odspiewała kilka ustępów z „Cyrulika se-

wilskiego“. W przestanku koncertu przedstawiono ją całą wzruszoną i zapłonioną wielkiemu mistrzowi, który obsypał ją nieudanemi i serdecznemi pochwałami, w jakich czułość sędziwego ojca zmieszana była z młodzieńczym wielbiciela zapałem.

Adelina ze spuszczonemi oczyma, ze łzami na rzęsach, rumieńcem, który cudnie na śniadej jej płci odbijał, stała przed Rossinim zadyszana, powtarzając tylko urywkowo:

— Dzięki ci, mistrzu, dzięki!...

W tem mistrz przerwał nagle swój czarujący panegiryk i zapytał ją nagle:

— Ach! zapomniałem pani zapytać: czyją to muzykę spiewałaś?

Atoli opuszczając salon, nieśmiertelny kompozytor nie wahał się powiedzić: Panna Patti jest największą spiewaczką, jaką spotkałem!

Przypominam sobie, iż Rossini powiedział mi coś podobnego we Florencji, na wieczorze u księżny Kazimiery Czetwertyńskiej, gdzie wtórował na fortepianie śpiewowi córki jej Janiny.

— Od biednej Malibran nie spotkałem jeszcze takiej skali głosu, jak u twej rodaczki!

W 1868 r. w Londynie Adelina Patti wyszła za Rogiera de Cahuzac margrabiego de Caux, który przegrawszy cały majątek, chciał poprostu wyzyskać talent żony. Diva zaś była niesłychanie kapryśną, oryginalną i dziwaczną i stanowiła w tym względzie osobliwy wyjątek między włoszkami, u których dziwactwo, tak powszeche na północy, jest rzeczą niebywałą, a rozpowszechniony jest prawdziwie narodowy typ Katarzyny Medycejskiej i Bony Sforzy, to jest głęboki rozum, idący w parze z namiętnością, ale nieodłączny nigdy od zimnego rozsądku co porywami kieruje i namiętność potęguje wyrachowaniem. Małżeństwo, w takich warunkach zawarte nie mogło być szczęśliwem. Adelina upodobała sobie zaraz młodziutkiego tenora, nieszpetnego, z uszkami tak małemi, że był zupełnie podobny do mopsa.

(Dokończenie nastąpi.)

Z nowel Tołstoja.

(Ciąg dalszy).

Dwaj staruszkowie.

Obejrzałem się za sobą — począł chłop — ale gdzie jej tu dostać?.. Wszędy nastręczali się ludzie tylko za kęs chleba. Dzień robisz, bez dwa dni szukasz roboty. Stara zabrała się z dziewczyną po prożbie. A cóż zebrały? nigdzie odrobiny chleba! tak przekołataliśmy do wiosny. Z wiosną ustała i jałmużna — zmogła nas choroba. Jeden dzień zjedliśmy nieco, trzy dni zaś nic. Poczęliśmy żywić się trawą. Czy od swej trawy, czy z czego — żona mi się pochorowała. Padła na łoże — padłem i ja — nie mam już wcale siły. I znikąd, znikąd ratunku!...

— Ja jedna. Dodała stara — co się jeszcze nie gorzej trzymałam, ale nie mając pożywienia — osłabłam w końcu. I ta maleńka osłabła — niebożątko i zdziczała. Posyłam ją do sąsiadów — ta kryje się po kątach i iść nie chce. Przedwczoraj zajrzała tu sąsiada, ale ujozawszy wygłodzonych i chorą — znikła co prędzej! toć i u niej nie lepiej: mąż ruszył w świat a ona niema co — nieboga włożyć swemu drobiazgowi do gęby. Tak tedy leżeliśmy tu oczekując śmierci.

Wysłuchawszy tego Jelisej — postanowił niedoganiać tego dnia towarzysza. Pozostał na noc.

Wstawszy nazajutrz rano — jął zarządzać domem, jakby tu sam był gospodarzem. Zarobił ze starą ciasto i napalił w piecu pod pieczywo; poszedł do sąsiadów pożyczyć co trzeba do gospodarstwa — bo też brak było najpotrzebniejszych narzędzi — wszystko sprzątnięto aż do przyodziewy. I Jelisej postarał się o najniezbędniejsze rzeczy, zrobił sam, albo też kupił. To trwało dzień, potem został i drugi, wreszcie trzeci. Mały powstał z barłogu, bawił się na ławce i przymilał Jelisejowi. A dziewczynka się rozpogodziła i była mu we wszystkiem pomocną. Bywało wyskakuje w koło Jeliseja: „Dziadku, dziadziu“! Stara zwlokła się i poszła do sąsiady. I chłop wzmógł się i sunął się opierając o ścianę. Jeno kobieta leżała na przypiecku, ale już na trzeci dzień jadła i zapytała to o to, to o owo. — Nie myślałem, że tyle stracę czasu, pomyślał Jelisej — no, teraz to już pójdę!

6.

Czwartego dnia po poście do św. Piotra, myśli Jelisej: zjem jeszcze razem z nimi i kupię im co na święto. Pójdę zaś pod wieczór. Wyszedł na wieś kupił mleka, mąki pszennej, okrasy. Nawarzyli więc — napiekli. Z rana poszedł na mszę, z powrotem jadł z ludźmi. Tego samego dnia powstała kobieta — mogła już opwoli chodzić. A chłop ogoliwszy się, ubrał świeżą koszulę — stara mu ją uprała — i poszedł na wieś do bogatego gospodarza; u niego był zastawił swój grunt. Poszedł go więc prosić, czyby mu do nowego zbioru gruntu nie oddał?... Wieczorem powrócił smutny i zapłakał. Bogacz ani chciał słyszeć o tem — rzekł tylko przynieś pieniądze!

Zadumał się Jelisej. I z czegoż więc będę żyć? Pomyślał. Tamci zbiorą — a ten nic. Jęczmień dojrzeje a inni go zwiozą, wszystko zbierze bogacz! Odejdę z tąd to znowu popadną w nędzę!... I ważył się z sobą Jelisej... i nie ruszył wieczorem, lecz został do ranka. Poszedł spać na podwórze. Zmówił pacierz — położył się ale ani rusz zasnąć: iść trzeba — stracił już dosyć czasu i pieniędzy — a tu żal mu ludzisków. Ale trudno wszystkiemu pomagać. Chciałem ich jeno skrzepić wodą i kromką chleba a tu tyle się z tego zrobiło!... Teraz wykup im rolę i łąkę, a zrobisz to, musisz dzieciom kupić krowę, chłopu konia jeszcze.., i to i owo!... O.., powikłałeś się strasznie bracie Jeliseju kuśnirzu! A teraz ani w prawo, ani w lewo!... Usiadł, rozłożył kaftan, który był zwinął pod głowę, dobył łubnianej tabakierki i zażył, niuch tabaki rozjaśni mu w głowie!... ale gdzietam!... Myślał tak i siak... aż nic nie wymyślił. Musi przecież iść — a tu żal mu ludzisków. Co począć? Znów się położył, podemnąwszy zwinięty kaftan pod głowę. Leży — leży — już i kur zapiał — wreszcie zdrzemnął. Nagle zda mu się jakby go kto budził — patrzy i widzi siebie gotowym już do drogi z kijem i torbą — chce przejść przez wrota — ale

ledwie przecisnąć się może. Przeciska się jednak zawadza z jednej strony torbą — a chcąc się uwolnić, zaczepia z drugiej onucką i trzewik się rozwiązuje. Stara się wydrzeć z wrot ciasnych, aż tu patrzy — to nie chruściany płot, ale dziewczynka go przytrzymuje, wołając: „Dziadku, dziadusiu daj chleba; Spojrzał na nogę: aż tu chłopczyk trzyma co sił za onuckę. Oknem wygląda staruszka i chłop. — Budzi się Jelisej i mówi głośno do siebie: Jutro wykupię łąkę i rolę, kupię konika, a dla dzieci krowę. Gdy pójdziesz szukać Chrystusa za morzami — zgubić go możesz w sobie samym: trzeba pomódz tym ludziom!.. I usnął i spał spokojnie aż do ranka — obudziwszy się, poszedł do bogacza wykupił rolę i łąkę. Poczem kupił kosę (nawet kosę sprzedali)! i przyniósł ją chłop. Kazał mu zaraz kosić. Sam zaś poszedł ku wsi i wytargował u szynkarza wóz i konia. Poczem poszedł za krową. Idzie drogą, przed nim dwie wieśniaczki — idą i gwarzą — słucha: mówią o nim:

— Zrazu — powiada kobieta — nic nie wiedziała, co to za człowiek — myślała: ot, zwyczajnie pielgrzym. Przyszedł napić się wody i został. Nakupił im wszystkiego — ale to wszystkiego powiadam wam! Sama widziałam jak kupował u szynkarza wóz i konia! I pomyśleć, że są jeszcze tacy ludzie na świecie! Pójdę do nich zobaczyć.

Usłyszawszy Jelisej jak go chwalą, przedsięwziął krowy nie kupować. Wrócił do szynkarza, zapłacił, co się należało, zaprzągł konia do woza i pojechał do chaty: Przybył przed wrota, stanął i wysiadł. Ludzie zadziwili się ujrzawszy konia. Domyślali się, że kupił go dla nich, nie śmieli jednak powiedzieć. Chłop wybiegł, aby otworzyć wrota.

Zkąd wziąłeś tego konia, dziadusiu? zapytał.

— Kupiłem, trafił się za pół darmo. Nakoś mu na noc trawy.

Chłop wyprzągł — nakosił sporo trawy i narzucił do żłobu.

Położyli się spać. Jelisej położył się na dworze, dokąd wyniósł był swoją torbę. Gdy w chacie wszystko ucichło, podniósł się, obuł buty, ubrał kaftan i wyszedł na drogę.

7.

Uszedł z pięć wiorst, już dniało. Siadł pod drzewem, by przeliczyć pieniądze. Zostało mu 17 rubli 20 kopiejek. Nu, myślał — o tem morza nie przebędziesz; a dostać się, żebrząc w imieniu Chrystusa, zda mi się wiekszym jeszcze niż niebyć wcale grzechem. Trafi tam kum Jesim i bezemnie zapali świeczkę na moją intencję. Ja zaś do śmierci będę już dłużnikiem boskim; ale mój mistrz dobry jest i cierpliwy. Jelisej powstał — zarzucił torbę na plecy i nawrócił się. Żeby go zaś nikt nie spostrzegł — obszedł wieś w koło. Jakos wkrótce dobił się do domu. Gdy szedł z Jesimem... o jakże go czasem nogi nieść nie chciały! ledwie że niemi powłóczył. Teraz — Bóg jakoś dał, że nic a nic nie czuł trudu. Idzie spiewająco, wywinie czasem nawet młyńca laską — a wali do 70 wiorst dziennie.

Przybył do domu już po żniwach. Wszyscy w chałupie uradowali się wielce. Wypytują go: jak — co, dlaczego się odłączył od towarzysza, dlaczego z pół drogi wrócił.

— Bóg nie chciał — ot widzicie: ja zgubił pieniądze i towarzysza. Przepuście w imieniu Chrystusa.

I oddał resztę pieniędzy starej — potem pyta: a co tu? Wszystko w porządku, ot postaremu: w zgodzie, taj pokoju.

Jesimowie zwiedzieli się duchem o przybyciu starego i dalej pytaj o swego.

— A co wasz zdrów — szedł krzepko — trzy dni przed świętym Piotrem rozeszliśmy się chciałem zdążyć za nim — ale cóż? zgubiłem pieniądze. Jakże tu wędrować — ha? taj wróciłem.

Ludzie dziwowali się, że taki — ot, rozumny człek, nie dał sobie w drodze rady — poszedł nie doszedł — ino uronił pieniądze. Dziwowali się — aż i zapomnieli. I Jelisej zapomniał — a wziął się raźno do roboty: z pomocą syna naznosił drwa na zimę, pomógł kobietom w młocce okrył stodołę i zaopatrzył pnie. Dziesięć pni z przychowkiem oddał sąsiadowi. Stara zrzędziła trochę o przychowek — ale stary wiedział, co się sąsiadowi patrzy: miast dziesięciu, siedemnaście pni. Uładziwszy wszystko, wysłał synka na robotę. Sam zasiadł do zimowej roboty: plótł lipowe kierbce i wydrążał pnie.

8.

Przez cały ów dzień, który Jelisej przepędził w chacie chorych ludzi — szukał go Jesim. Poszedł kawałek — usiadł czekał i czekał — aż i zasnął; obudziwszy się czekał jeszcze sporo nic i nic! Czeka, wypatruje oczy. Już i słonko skłoniło się za drzewa — o Jeliseju ani słychu, ani dychu. A może już poszedł — myśli. A czy nie przejechał jak ja spałem? ktoś go zabrał na furę i dalej. Toćby może powinien był ujrzeć — toż step — jak dłoń. Wrócić się — a jak mnie wyprzedzi? Miniemy się — znów kiepsko. Ot, pójdę naprzód, spotkamy się na noclegu.

Przybywszy do wsi — prosił syna wójtowego, aby dał znać; jak spotka obcego staruszka Ale Jelisej nie przybył. Więc w drogę; — pyta tu i ówdzie, czy niewidziano takiego, a takiego łysego staruszka? nikt nie widział na oczy. Jesim się dziwuje i idzie sam. O, spotkamy się — myśli — w Odessie, albo też na okręcie.

Po drodze zeszedł się z pewnym pielgrzymem, w maluśkiej krymce na głowie, w kucie włosy miał długie. Pielgrzymował na górę Athos a teraz szedł już drugi raz do Jerozolimy. Spotkali się na noclegu — rozpoczęli rozmowę i później szli już razem.

Dotarli zdrowo do Odessy, tam zastali moc, pielgrzymów z różnych stron. Szukał Jesim pośród nich Jeliseja — ani śladu! Pielgrzym pouczał Jesima co robić, aby za jazdę okrętem nic nie płacić — ale Jesim: „A po cóżbym brał pieniądze — rzekł — zapłacę — o jej“!

(Dokończenie nastąpi).